



WOJCIECH
CHMIELARZ
ŻMIJOWISKO

MARGINESY



**WOJCIECH
CHMIELARZ
ŻMIJOWISKO**

MARGINESY

Próbowała się zabić dwa razy. Za pierwszym razem wzięła środki nasenne. Całą garść rohypnolu, który popiła wódką. Poczula się odprężona i cholernie szczęśliwa. Złe myśli same uciekły jej z głowy, chociaż wcześniej oblepiały zwoje mózgowo warstwą czarnej lepkiej smoły. A potem niespodziewanie się przestraszyła. Pobiegła do toalety, objając się po drodze boleśnie o ściany. Klęknęła przy sedesie i włożyła sobie dwa palce głęboko w usta. Zaczęła wymiotować, a deska klozetowa spadła na nią i uderzyła w potylicę. Kiedy wyrzygała już wszystko, co miała w żołądku, a z jej ust wylewała się tylko pożółkła kwaśna ślina, wróciła do sypialni i zasnęła na szesnaście godzin.

Za drugim razem to była kwestia impulsu. Luty. Mokro, zimno i ciemno. Długo płakała w ubikacji. Zużyła prawie całą rolkę papieru toaletowego, wycierając łzy z twarzy. W końcu wstała. Przeszła do dużego pokoju. Otworzyła drzwi balkonowe. Owiąło ją chłodne powietrze. Przełożyła najpierw jedną nogę przez barierkę, potem drugą. Spojrzała w dół. Pod sobą miała pięć pięter, a na samym dole chodnik wyłożony kostką brukową. Po drodze nic, co spowolniłoby spadanie. Nic, co mogłoby uratować jej życie.

– Mamo?

Zerknęła za siebie. W balkonowych drzwiach stał Ignasz. Zupełnie zapomniała, że jest w domu. Szybko zeszła z barierki. Serce

waliło boleśnie, objijając się o żebra. Przytuliła synka i wbiegła z nim do domu. Zaczęła znowu płakać.

Pocieszała się, że mały ma dopiero trzy lata. Że nie zapamięta widoku mamy, która planowała się rzucić z szóstego piętra. A potem uświadomiła sobie, że nie zapamięta również Ady. Nie chciała żyć w świecie, w którym jedyne wspomnienia jej syna o siostrze będą pochodziły z opowieści innych ludzi.

Matki zawsze mówią, że wszystkie swoje dzieci kochają tak samo.

Matki kłamią.

Ada zajmowała w jej sercu więcej miejsca niż Ignas. I chociaż ona miała piętnaście lat, a on tylko trzy, to Kamila wiedziała, że nic już się nie zmieni. Wstydziła się tego. Starła się o tym nie myśleć, ale taka była prawda.

To dziecko ukształtowało całe jej dorosłe życie. Pojawiło się, kiedy ona, zaledwie dwudziestojednoletnia studentka, raz zaszła bez zabezpieczenia. Pamiętała swój strach, kiedy najpierw na teście pojawiły się dwie kreski, a potem wizytę u ginekologa, który potwierdził ciążę. Poradził jej, żeby się cieszyła. Chciała go wtedy uderzyć, bo dla niej to było jak koniec. Zabrakło jej jednak odwagi, żeby zapytać o skrobankę.

Potem poczuła, jak rośnie w niej życie. Pierwsze ruchy w jej macicy. Nieśmiałe, później coraz silniejsze kopnięcia, bolesny poród, bo lekarz idiota nie chciał dać znieczulenia, i wreszcie najpiękniejszy na świecie zapach świeżo urodzonego dziecka i kolejne bóle, kiedy wyrzucała z siebie łożysko. Małżeństwo z chłopakiem, który tak naprawdę nie dorósł do tego, żeby być ojcem, ale przynajmniej bardzo się starał. Ciasne mieszkanko, zebranie po znajomych o meble i ubranka, siedzenie po nocach z płaczącym z powodu kolki dzieckiem i równoczesne uczenie się do sesji. Ciągła obawa o pieniądze. Fuchy łapano gdzie tylko się da. Pomoc przyjaciół i rodziny. Potem pierwsze wakacje we trójkę. Praca,

mała stabilizacja. Lepsza praca. Kredyt. Nawet udało się go przewalutować, zanim było za późno. Większe mieszkanie. Samochód.

Ignas przybył na gotowe. Od początku miał własny pokój, niewielki, bo z przerobionej kuchni, którą przenieśli do dużego pokoju, łącząc z salonem. Mieli pieniądze. Mniej, niżby chcieli, ale więcej niż kiedyś. Nawet pięćset złotych dostali, chociaż spokojnie daliby sobie radę bez.

Kochała go. Był jej małym pięknym synkiem.

Ale nie aż tak jak córkę.

Ady już nie było. Zniknęła. Rozpłynęła się w ciemnościach letniej nocy. Pozostawiła po sobie ogromną dziurę. Kamila była przekonana, że nigdy nic jej nie wypełni.

Mylła się.

Wypełnił ją, aż po same brzegi, matczyne ból po straconym dziecku.

Słońce nad Polską wygląda inaczej. Jest daleko. Wydaje się chłodniejsze, mniejsze, nieobecne, jakby znalazło się nad tym krajem przypadkiem. A pomimo to w jakiejś dziwnej pasywno-agresywnej relacji bombarduje dziko promieniami. Bez umiaru i nachalnie, próbując w trzy miesiące nadrobić dziewięć pozostałych, kiedy rzadko potrafi przebić się przez gęsty kożuch chmur. W Nigerii słońce sprawia wrażenie, że chce się do ciebie zbliżyć. Promienie są tak mocne, że niemal czuć, jak uderzają w skórę. Aż chciałoby się je dotknąć, utkać z nich jedną z tych wielokolorowych tkanin, które noszą tamtejsze kobiety.

Adaoma pokochała Nigerię, kiedy tylko postawiła tam stopę. Żadne miasto, żaden Londyn, Paryż czy Nowy Jork nie ma w sobie takiej energii jak Lagos. Uwielbiała tam wracać. Wtapiać się w głośny tłum, obserwować innych, chodzić na imprezy, gdzie roztańczeni ludzie rzucali w siebie nawzajem banknotami. Jednak jej prawdziwe życie było tutaj, w Polsce. W kraju, który był lepszy i gorszy, któremu wiele brakowało, ale który był jej domem. Jej miejscem na ziemi, którego za nic nie zamieniłaby na żadne inne. Nieważne, ile osób by pisało w internecie, że nie jest prawdziwą Polką i nigdy nie będzie. Albo ile by ją stąd wyganiało za

Morze Śródziemne, bo to ono, jak twierdzili, oddziela człowieka od małpy. Chowała swoją pogardę za wyćwiczonym uśmiechem i w duchu życzyła im wszystkiego najgorszego, zdając sobie sprawę, jak arcy-polskie to jest zachowanie.

Pod jej adidasami chrzęściły kamienie, pękały suche patyczki, trzeszczało igliwie i szyszki, które spadały ze wzbijających się w górę sosen. Było duszno i gorąco. Nie tak jak w Lagos, ale dość. Sportowa koszulka przywierała jej do ciała, pot spływał wzdłuż pleców, tworząc na nich niewielkie strumienie. Pobiegła za daleko. Przeszarżowała i od dłuższej chwili zamiast truchtać, po prostu szła. W bidonie skończyła się woda, a do gospodarstwa zostały jeszcze niecałe trzy kilometry. Miała nadzieję, że zdąży wrócić przed burzą.

Najgorsi byli jednak młodzi mężczyźni. Szli za nią od pewnego czasu. Dołączyli mniej więcej wtedy, gdy opuściła miasteczko. Trójka wyrostków, która popijała piwo na ławeczce przed domem i paliła fajki. Kiedy ich minęła, najpierw obrzucili ją ciężkimi, nieprzyjemnymi spojrzeniami. Potem zorientowali się, że zmierza w kierunku lasu, i podążyli za nią.

Szli szybciej od niej, chociaż nieznacząco. Nie dało się jednak ukryć, że dzieląca ich odległość wciąż się zmniejszała. Adaoma kilka razy przyspieszyła, a oni zrobili to samo. Zastanawiała się, czy nie powinna zacząć biec, ale obawiała się, że wtedy ruszyliby w pogoń. I to będzie już koniec, wszystko stanie się oczywiste. Teraz jeszcze mogła udawać, że tylko idą w tym samym kierunku. I liczyć na to, że coś wybije im z głów głupie pomysły.

Słyszała ich głosy. Wyłapywała pojedyncze słowa, zwroty takie jak: kurwa, ruchanie, czarna dupa. Wbijali wzrok w jej pośladki. W pewnym momencie jeden z nich zagwizdał. Ostry nieprzyjemny dźwięk spłoszył dwa ptaki odpoczywające na gałęzi nieopodal. Popęniła błąd i mimowolnie się obejrzała. Trzy wykrzywione agresją pomieszaną z żądzą twarze. Znudzeni chłopcy wreszcie

zobaczyli zabawkę, nad którą mogą się poznęcać. Zdradziła się ze swoim strachem, co tylko ich rozochociło.

– Poczekaj, czarnulko!

– Czekaj, czekaj! Chcemy tylko pogadać!

Niespełna trzy kilometry do gospodarstwa. Cały ten odcinek prowadził przez las. Modliła się, żeby kogoś spotkać. Leśniczego. Rodzinę zbierającą grzyby lub jagody. Kogokolwiek, kto mógłby jej pomóc.

– Czekaj! Kurwa, bambuska chyba nie rozumie! Czekaj, kurwa, mówię!

Czy gdyby zaczęła teraz biec, zdołałaby uciec? Nie wyglądali na przesadnie wysportowanych. Palili. Parne powietrze przeszkadzało im tak bardzo jak jej. Ale ona zrobiła już ponad dziesięć kilometrów.

– Ty, może banana rzucić, żeby się zatrzymała?

– Mam dla niej wielkiego białego banana, który mógłby ją zainteresować – usłyszała i zaraz potem rozległ się obrzydliwy głośny rechot.

– Chodź, bambo! Mamy banana!

Czy wiedzieli, kim jest? Czy widzieli jej zdjęcia? Najgłupsza rzecz, na jaką się w życiu zgodziła. Rozbierana sesja dla magazynu dla panów. Ówczesny agent przekonywał ją, że to pomoże. Uwierzyła mu. Kiedy przyszła do studia, fotograf dał jej na początek skąpy stanik, sukienkę z liści palmowych oraz kolorową tarczę i dzidę. Rzuciła tym wszystkim o ziemię, nazwała go kretynem i wybiegła z budynku. Dzień później z oficjalnymi przeprosinami zadzwonił wydawca. Powiedział, że już zwolnił osoby, które zaplanowały sesję, i zapraszał gorąco, żeby spróbowała jeszcze raz. Chciała odmówić, ale agent przekonał ją po raz kolejny. Za drugim razem pokazali jej eleganckie pomieszczenie, gdzie wszystkie meble, a także ściany i podłogi były lśniąco białe. Położono ją na łóżku w śnieżnej pościeli. Kolejny fotograf tłumaczył, że chce za-

grać kontrastem czarnej skóry i bieli. Zazgrzytała zębami, ale mu uległa. Nie chciała robić kolejnej awantury. Do dzisiaj znajdowała te zdjęcia na wysokich miejscach wyszukiwania, kiedy tylko wpi-sywała w Google swoje nazwisko.

– Czarna małpka dostanie białego banana!

– Dupeczko, poczekaj. Będzie fajnie.

– Nie każ się gonić!

– Może oni tak w Afryce mają. Trzeba najpierw dogonić dupę i jebnąć ją dzidą przez głowę...

– Jebnąłbym ją swoją dzidą, ale gdzie indziej.

Dochodziła do leśnego skrzyżowania, gdzie powinna skręcić w prawo, by dotrzeć do Żmijowiska. Od strony przecinki usłyszała wyraźny warkot samochodowego silnika. Przyspieszyła kroku i wtedy w kłębach kurzu, w odległości zaledwie kilku metrów mi-nął ją srebrny ford focus. Podbiegła do przodu, podniosła rękę. Chciała już krzyknąć, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale, o dziwo, auto samo się zatrzymało, zanim cokolwiek zrobiła. Potem kie-rowca wrzucił wsteczny i podjechał do niej powoli. Otworzył drzwi od strony pasażera.

W środku siedział Arek. Schudł przez ostatnie dwanaście miesięcy. Jego twarz była teraz pociągła i sucha. Na policzkach miał kilkudniowy zarost, pod oczami głębokie cienie. W pierwszej chwili z trudem go poznała. I może też o to mu chodziło. O zmianę wizerunku, utrudnienie identyfikacji.

– Wsiadaj – powiedział, zerkając na stojących za nią chłopaków.

Wślizgnęła się do samochodu. Na tylnym siedzeniu dostrzegła tekturowe pudło wypełnione po brzegi papierami, a obok torbę podróżną. Na podłodze wałały się puszki po energizerach i opako-wanie po żarciu z McDonalda. A także jedna przybrudzona frytka.

– To nie są twoi znajomi? – zapytał, spoglądając w stronę trzech chłopaków.

– Nie.

– Tak myślałem.

Ruszył. Adaoma patrzyła w boczne lustro. Dostrzegła w nim malejące z każdą chwilą sylwetki młodych mężczyzn. Jeden z nich stał z wyciągniętą wysoko w górę ręką i pokazywał im środkowy palec.

– Nie wyglądało to dobrze – powiedział Arek. – Nic ci nie jest?

– Nie. To tylko paru głupich gnojków.

– Chcesz się napić?

Chciała. W gardle miała sucho. Ale bała się, że nawet łyk wody wywoła wymioty. Podziękowała.

– Skręcę klimę. Jesteś cała spocona.

– Nie trzeba.

– Do Żmijowiska? – zapytał Arek.

Potwierdziła.

– Robert też przyjechał? – Jego głos zadrżał lekko, kiedy zadał to pytanie.

– Nie. Jestem sama. A ty?

– Też sam.

– A Kamila?

Wzruszył ramionami.

– Przepraszam, to nie moja sprawa.

Zwolnił, kiedy pokonywali kolejny zakręt. Las się kończył. Zza drzew można było dostrzec pierwsze budynki gospodarze. Znaleźli się w na wpół otwartej przestrzeni. W kwadracie pól bezlitośnie wyrwanym lasowi. Wjechali do osady. W Żmijowisku mieszkały zaledwie trzy rodziny. Po trawnikach biegały dzieci w brudnych ubraniach, a pod ścianami leżały kundle, które na wi-dok jadącego samochodu tylko podniosły głowy. Minęli domy i po pięćdziesięciu metrach dojechali do ostatniej posesji, otoczonej drewnianym płotem. Przy bramie, z drewnianego słupa zwisała zawieszona na łańcuchach tabliczka „Agroturystyka Żmijowisko”, a obok niej wycięta z drewna uśmiechnięta szeroko sympatyczna

zmija. Arek wrzucił kierunkowskaz i wjechał na teren. Zaparkował obok rzędu innych samochodów o rejestracjach z całej Polski. Oboje wysiedli.

Przed nimi rozciągał się malowniczy widok na pobliskie jezioro. Podłużne, lekko się wijące, dość wąskie. Żeby do niego dotrzeć, wystarczyło zejść kilkadziesiąt metrów ścieżką w dół, na niewielką plażę, gdzie teraz nikogo nie było. Po lewej znajdował się spory budynek. Dawna stodoła przerobiona na jadalnię. Dobiegały z niej dziecięce głosy. Dobudowano do niej dwa skrzydła z pokojami dla gości. Nieopodal stał dom jednorodzinny, w którym mieszkała rodzina gospodarzy. Obok niego resztki zabudowań gospodarczych, stary traktor, a w zagrodach leniwie wałęsało się kilka kóz i owiec. Dalej postawiono w szeregu pięć domków wczasowych, schludnych i niedawno pomalowanych na biało. Na dużym podwórzu pomiędzy tym wszystkim zmieściły się parking dla samochodów, boisko do siatkówki, trampolina dla dzieci oraz plastikowa zjeżdżalnia.

– Dzięki – powiedziała Adaoma.

– Nie ma problemu.

Z jadalni wyszła tęgawa blondynka w wieku trzydziestu kilku lat, ubrana w getry i szarą koszulkę. Na rękach niosła malutkie dziecko, które mogło mieć mniej więcej pół roku. Zamachała radośnie do Adaomy, ale uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy dostrzegła stojącego obok Arka. Ruszyła do niego szybkim, zdecydowanym krokiem.

– Dzień dobry panu – powiedziała.

– Dzień dobry.

– W czymś mogę panu pomóc? – zapytała szorstko.

Dziecko na jej rękach zaczęło się wiercić. Poprawiła je, przytulając do piersi.

– Chciałem pokój.

– Mamy wszystko zajęte.

– Zarezerwowałem miejsce.

Zmrużyła oczy, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Nie sądzę. Wiedziałabym o tym. Może pan się pomylił i zarezerwował coś w mieście?

Adaoma prawie się uśmiechnęła. Miastem kobieta określiła niewielką miejscinę, gdzie poza sezonem mieszkało może ze dwa, trzy tysiące osób.

– Na pewno nie – powiedział Arek. – Rozmawiałem z pani mężem.

– To niemożliwe. Mąż nie zajmuje się takimi rzeczami. Rezerwacji pilnuję ja.

– To może go spytajmy – zaproponował i wskazał palcem za kobietę.

Gospodyni odwróciła się. W ich stronę szedł postawny brodaty mężczyzna w roboczym ubraniu poplamionym farbą i olejami. Przed chwilą coś naprawiał, bo w dłoni trzymał jeszcze młotek i parę gwoździ. Miał kędzierzawe włosy, przez co, pomimo dorosłego wieku, wyglądał trochę jak niesforny chłopiec.

– Krzysiek!

– Co jest?

– Pan mówi, że zarezerwowałeś mi pokój.

Mężczyzna stanął obok kobiety.

– No tak – potwierdził.

– Ale przecież wiesz, że nie mamy wolnych miejsc.

– Myślałem, że możemy...

– Nie mamy wolnych miejsc – przerwała mu ostro, a każde jej słowo ważyło tyle, co kamień młyński.

Gospodarz uśmiechnął się głupkowato i widać było, że gorączkowo próbuje znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji. Zanim jednak zdążył cokolwiek wymyślić, blondynka zwróciła się do Arka.

– Jak pan sam widzi, nie ma dla pana pokoju. Bardzo przepra-

szam za pomyłkę. Jeśli wpłacił pan zaliczkę, oczywiście zwrócimy.

– Nie chodzi o zaliczkę... – Stęknął. – Przejechałem kilkaset kilometrów do was i...

– Jest komplet! – powiedziała stanowczo. – Bardzo. Mi. Przykro.

Arek założył ręce za głowę. Kobieta zbliżyła się do niego o pół kroku, jakby chciała go w ten sposób zmusić, by wsiadł do samochodu i wreszcie odjechał.

– Może zatrzymać się u mnie – włączyła się Adaoma.

Gospodyni spojrzała na nią zaskoczona. Podobnie zresztą jak on.

– W moim domku są przecież dwa pokoje. W jednym może zamieszkać Arek.

– Ale ten drugi pokój jest maleńki! – zaprotestowała kobieta.

– Poradzimy sobie.

– Tam jest tylko jedna łazienka!

– Dam sobie radę. Ściągnę z lustra kilka kosmetyków i znajdzie się miejsce na drugą szczoteczkę do zębów.

Blondynka desperacko szukała kolejnych argumentów, żeby zaprotestować, ale promienny uśmiech Adaomy sygnalizował, że jest gotowa je wszystkie rozbroić. Gospodyni zerknęła w stronę męża, szukając u niego wsparcia, jednak on zachowywał się tak, jakby sytuacja go nie dotyczyła.

– Będzie pani niewygodnie, ale jeśli pani tak chce, to proszę bardzo – powiedziała z rezygnacją. – Proszę poczekać, pójdę po drugi klucz. Krzychu, pomożesz?

Mężczyzna drgnął, kiedy usłyszał swoje imię, a potem w jego oczach pojawił się cień obawy, kiedy zorientował się, że ma iść z żoną. Wymamrotał coś pod nosem i ruszył za nią.

– Dzięki – powiedział Arek. – To tylko na kilka dni.

– Nie ma sprawy. Daj mi chwilę, dobrze? Ogarnę tam swoje rzeczy.

– Jasne. Poczekaam tutaj.

Adaoma wahała się, czy powinna coś jeszcze powiedzieć, do dać, ale wyglądał na zmęczonego podróżą. Ona zresztą też, po incydencie z trójką chłopaków czuła się ciągle rozdygotana. Dlatego po prostu poszła do domku, żeby przygotować miejsce dla drugiego lokatora.

2

Gospodarz wraz z żoną wszedł do stodoły. W środku, wokół dużego stołu zebrała się grupa dzieciaków, które z zapałem kleiły coś pod kierownictwem animatorki. Kilkorgu już się to znudziło i bawiły się teraz w kąciku z zabawkami. Z boku, przy innym stole siedziały dwie kobiety. Piły herbatę z kubków i półgłosem o czymś rozmawiały. Pomiędzy nimi leżał talerz kruchych ciasteczek.

Żona poprowadziła go do kuchni. W sezonie zatrudniali dwie sąsiadki do gotowania dla letników. Teraz starsza z nich ugniatała kolejną porcję ciasta na pierogi, a młodsza je wałkowała, co chwila sprawdzając coś ubrudzonym mąką paluchem na swoim smartfonie. Znad stojących na kuchence garnków, gdzie właśnie gotował się kompot, unosiły się kłęby pary. Obie kobiety były pewne i sprawdzone. Chętne do roboty, chociaż ta młodsza mniej. Zdaniem gospodyni dwudziestolatka zbyt często robiła przerwy na papierosa, po to tylko, by do kogoś zadzwonić, posiedzieć na fejsie, powysłać esemesy i wrzucić fotkę na insta. Dziewczyna ciągle też coś planowała. A to wyjazd do roboty do Warszawy, a to pracę w magazynie w Anglii, usługiwanie w knajpie w Irlandii, opiekę nad seniorami w Niemczech czy zbieranie owoców w Holandii. Z tych zamierzeń nigdy nic nie wychodziło, ale koniec końców wydawała się z tego zadowolona. Jakby same marzenia o lepszym życiu jej wystarczyły.

– Krysiu, weźmiesz na chwilę Adasia? – zapytała gospodyni.

Dziewczyna przestała ugniatać ciasto. Schowała telefon do kieszeni, ściągnęła fartuch i otrzepała ręce, odsłaniając przy tym skrzydło motyla, którego miała wytatuowanego na ramieniu.

– Chodź do mnie, maluchu – powiedziała, uśmiechając się szeroko. Dzieciak zachichotał i wyciągnął w jej stronę rączki. Dziewczyna wzięła go od gospodyni. – Pójść z nim gdzieś?

– No. Przejdź się z nim kawałek. Wróćcie za parę minutek, dobrze? Albo podrzuć go Damianowi. Gdzieś tutaj się włóczy.

– Dobrze.

– Jesteś kochana.

Krysiu wyszła z kuchni, gaworząc z dzieckiem. Gospodyni oparła się o blat stołu. Policzyła przygotowane już pierogi.

– Nadzienia starczy? – zapytała.

– Starczy, starczy – potwierdziła kucharka dobrotliwie.

Gospodyni odwróciła się do męża.

– I coś ty najlepszego narobił! – powiedziała z wyrzutem.

Mężczyzna zrobił obrażoną minę.

– No co zrobiłem? Co zrobiłem? Wynająłem pokój facetowi, nie? To tutaj robimy, Aśka, nie?

– A powiedziałeś mi o tym?

– Powiedziałem.

– Kiedy?

– Bo ja pamiętam wszystko?! Powiedziałem, i tyle.

– Jakbyś mi powiedział, tobym zapisała. Mam iść sprawdzić?! Bo jestem pewna, że jego w zeszycie nie ma! Bo jakbyś mi powiedział, tobym ci wyjaśniła, że to głupi pomysł i powaliło cię w dekiel!

Mężczyzna przewrócił oczami. Chrząknął w taki sposób, jakby w jego gardle zbierała się gęsta zielona flegma. Ale zamiast ją wypluć, poobracał ją w ustach, a potem przełknął.

– Mogłem zapomnieć ci przekazać – przyznał wreszcie, niemal nie otwierając ust przy wypowiedaniu tego zdania.

Podniosła rękę, jakby zamierzała go uderzyć, ale w ostatniej chwili się zreфлекtowała. Tylko machnęła w geście przepelnionym złością i irytacją.

– Jesteś beznadziejny. Po zeszłym roku po łokcie się urobiłam, żeby letnicy do nas przyjechali, a ty co? Sprowadzasz tego faceta.

– Bez przesady z tym urabianiem. Parę postów w internecie zamieściłaś, wielkie mi rzeczy.

– To trzeba było samemu to zrobić, idioto!

Kucharka, która do tej pory udawała, że nie słyszy toczącej się nad jej uchem rozmowy, teraz zamarła. Oderwała się od ciasta i spojrzała pytająco na gospodynię. Ta gestem kazała jej pracować dalej. Mężczyzna był niezadowolony. Wolałby odbywać tę rozmowę w innym miejscu, innym czasie i w cztery oczy. Ale rozumiał, że próby pozbycia się kucharki albo przekonania żony, by wrócili do tematu później, doprowadziłyby tylko do większej awantury.

– Przecież letnicy przyjechali, nie?

– Prawie o połowę mniej niż w zeszłym roku. Jak myślisz dlaczego, idioto?!

Milczał. A ona wzięła głęboki wdech, szykując się do dalszej części tyrady.

– Bo się przestraszyli! Przestraszyli tego, co tu się stało, i tego, że to może zdarzyć się ich dzieciom! Nic innego nie robiłam przez cały rok, jak tylko próbowałam przekonać ludzi, że u nas jest bezpiecznie. Że nic złego im się nie przytrafi. Że nie mamy nic wspólnego z tym... tym... incydentem! A ty tutaj sprowadzasz sobie tego faceta, jakby nigdy nic. I co, myślisz, że nikt nie zwróci na to uwagi!? To się do nas na zawsze przyklei, rozumiesz, idioto?! A jak się przyklei, to nikt do nas nie będzie przyjeżdżał, nikt! Nawet na adwokata nie będzie nas stać. A nawet jeśli nam tego jakimś cudem nie odbiorą, to jedyne, co będzie można zrobić, to wszystkie te domki wyburzyć i zasiać tu jakieś gównno, byle Unia dopłaty dawała. Prawdę mówię, pani Janeczko?!

Kucharka drgnęła, słysząc swoje imię. Spojrzała trwożliwie najpierw na gospodynię, potem na jej męża. Mężczyzna poczuł, że rośnie w nim złość. Krzyczenie na niego to jedno. Żona miała charakter, on był zaś z natury wycofany. Ona się awanturowała, on spokojnie rozwiązywał problemy. Przyzwyczaił się do jej wybuchów. Wiedział, że trzeba przeczekać, i tyle. Co innego jednak robić to przy pracownikach. A jeszcze co innego wciągać ich w tę rozmowę. Płacił im. Powinni traktować go z szacunkiem, a jak mieli to robić, skoro słyszeli, że żona wyzywa go od idiotów? Do tego mówiła dość głośno. Była szansa, że dotarło to do siedzących w jadalni letników. A nie po to ludzie przyjeżdżali na urlop do głuszy, żeby wysłuchiwać małżeńskich sprzeczek.

– Ja tam to bym uważała – stwierdziła kucharka, mając nadzieję, że nie będą jej więcej ciągnąć za język. Na szczęście gospodyni to wystarczyło.

– Sam słyszysz – powiedziała tryumfalnie do męża. – Wszystkich letników nam wystraszysz i tyle będzie z ośrodka.

Wymamrotał coś pod nosem.

– Co takiego? – zapytała.

Pociągnął nosem dla dodania sobie odwagi.

– Powiedziałem, że bardziej niż jego przyjazdem powinnaś się przejmować wyskokami twojego tatusia. To on nam zrzucił na głowę prawdziwy kłopot, nie ten facet.

Twarz gospodyni poczerwieniała. Kucharka skuliła się nad kolejną porcją ciasta i zaczęła je ugniatać z niezwykłą intensywnością. Mężczyzna podszedł do żony. Włożył młotek za pasek i delikatnie wziął ją w ramiona. Odrzuciła ten gest, więc go powtórzył. Tym razem pozwoliła się przytulić.

– No już, już... Żadnej wielkiej tragedii nie będzie – powiedział. – On zostanie tutaj tylko kilka dni. Zbliży się rocznica. Chce poszukać córki.

Prychnęła.

– Poszukać! Dobrze sobie! Widziałam w internecie, jak jej szukał przez ostatnie dwanaście miesięcy!

– Każdy przeżywa tragedię po swojemu.

Odsunęła się gwałtownie i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Głupi jesteś – stwierdziła. – Płot już naprawiłeś?

– Naprawiłem.

– To teraz trzeba się zająć traktorem.

– A co tam się dzieje?

– Coś ojcu buczy.

– W uszach mu buczy.

– Po prostu zobacz, co tam się dzieje.

– Dobra, dobra.

Kiedy wyszedł ze stajni, Arek ciągle stał przy swoim samochodzie na parkingu. Opierał się o klapę bagażnika i wyciągał twarz do słońca. Na moment ich spojrzenia się spotkały. Nie wymienili jednak żadnego gestu ani słowa.

Po prostu na siebie patrzyli.

3

W końcu drzwi od domku Adaomy się otworzyły, a kobieta zamachała do Arka, że może przyjść. Mężczyzna otworzył bagażnik. Wyjął z niego torbę i zarzucił ją na ramię. Z tylnego siedzenia wyciągnął natomiast karton. Był dość ciężki, więc niósł go w obu rękach.

Domek składał się z trzech pomieszczeń. W pierwszym znalazło się miejsce dla dwuosobowego łóżka, małej lodówki, stolika z krzesłami, niewielkiej szafy i telewizora. Z tego pokoju można było przejść do łazienki z prysznicem oraz do drugiego, znacznie mniejszego. Tam, jak Arek pamiętał, mieściło się tylko pojedyncze

łóżko oraz szafa. Chciał do niego wejść, ale Adaoma go powstrzymała. Sportowy strój zmieniła na zwykłą szarą spódnicę i żółty tizert. Włosy miała mokre po wyjściu spod prysznic.

– Możesz się rozłożyć tutaj – powiedziała.

– Myślałem, że to ja zajmę mały pokój.

– Nie. Będzie mi tak wygodniej – zapewniła.

– Słuchaj, ale tam ledwo można się obrócić. Mnie to nie przeszkadza, bo pewnie i tak przez większość dnia nie będzie mnie w ośrodku, dlatego ty powinnaś...

– To kwestia prywatności – przerwała mu. – Chciałabym mieć pokój, w którym mogłabym się zamknąć i gdzie nikt mi nie będzie wchodził. Rozumiesz?

Kiwnął głową.

– Nikt, ty też – dodała. – To ma być moja przestrzeń. Nie potrzebuję jej wiele, ale ma być tylko i wyłącznie moja. To jest mój warunek. Akceptujesz to albo... – Wskazała palcem na drzwi.

– Dobrze. To twoja przestrzeń – mruknął. – Nie bój się. Nie będę ci robił nagich zdjęć pod prysznicem ani kradł bielizny, żeby potem sprzedać w internecie i mieć na żetony.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Wiem – zgodził się. – Ale twój facet uważa inaczej.

Oparła się o ścianę i założyła ręce na piersiach. Arek tymczasem podszedł do łóżka i rzucił na nie karton, który trzymał w dłoniach. Sprężyny zaskrzypiały pod niespodziewanym ciężarem, a pudełko lekko przy tym podskoczyło.

– To nie moja wina.

Arek potarł palcami spocone czoło i odetchnął ciężko. Odłożył torbę. Podszedł do stołu, odsunął krzesło i usiadł na nim.

– Wiem, że nie twoja – powiedział po chwili. – Przepraszam. To był bardzo ciężki rok. A Robert przyłożył mi w momencie, kiedy naprawdę potrzebowałem pomocy. Gdzie on w ogóle jest?

– Nie wiem.

Spojrzał na nią. Widziała, że zbiera się na odwagę, by zadać kolejne pytanie.

– Rozstaliście się?

– Wolałabym o nim nie rozmawiać. Ale nie, nie rozstaliśmy się. To wszystko jest po prostu bardzo skomplikowane.

Na jego twarzy pojawił się delikatny smutny uśmiech. Przez chwilę światło tak się na niej ułożyło, że przypominał postać z portretu jakiegoś holenderskiego mistrza, szlachetną i cierpiącą. Adaoma poczuła ochotę, by wszystko mu opowiedzieć. Byłby to rodzaj gestu sprzeciwu wobec Roberta. Coś, co naprawdę by go zabolowało. Prawdopodobnie nie tak mocno jak to, co on zrobił jej, ale jednak.

– To jest bardzo skomplikowane – potwierdził Arek, zakreślając w powietrzu dłonią nierówny okrąg. – Żałuję, że nikt mi tego nie powiedział, kiedy poznałem Kamilę.

– Zmieniłoby to coś?

– Raczej nie – przyznał.

Oderwała się od ściany. Podeszła do łóżka i usiadła naprzeciwko, tuż obok kartonu, tak że teraz dzieliło ich zaledwie półtora metra.

– Uważam, że przykładasz do tego wszystkiego większą wagę, niż powinieneś.

– Wybacz, ale myślę, że się mylisz.

– Znam Roberta.

– Ja też. Dłużej od ciebie.

– Skrzywdził cię, ale to nie przez Kamilę – powiedziała.

– A dlaczego?

– Chciał pomóc.

Lekko poczerwieniał, jakby coś się w nim gotowało.

– Pierdolisz! – wyrzucił z siebie.

Nagle zrobiło się jej głupio, że broniła Roberta. Ani to nie była jej sprawa, ani on nie zasługiwał na jej obronę. A na pewno

nie teraz. Przymknęła powieki i zobaczyła jego pełną zadowolenia z siebie twarz, kiedy zaczął coś, co nazwał „poważną rozmową”. Wyglądał na lekko przestraszonego, ale chyba naprawdę spodziewał się, że ona doceni jego szczerść.

– Czasami zastanawiam się, czy nie zrobił tego, ponieważ ma coś na sumieniu – odezwał się Arek.

– Słucham?

– Pamiętam, jak patrzył na Adę, kiedy kąpała się w jeziorze. Matka kupiła jej kostium dwuczęściowy, nie ja – dodał, jakby musiał się z tego tłumaczyć. – On siedział niedaleko. I patrzył na nią tak, jakby...

– To nie tak – odpowiedziała i zaraz się zarumieniła. Znowu bronila Roberta. – Przepraszam...

Siedzieli naprzeciwko siebie przez kilka długich minut, nie wymieniając ani jednego słowa, ledwo na siebie patrząc. Wreszcie Arek wstał. Podniósł swoją torbę.

– To chyba jednak nie jest dobry pomysł – powiedział. – Poszukam czegoś gdzie indziej.

– Chyba tak.

Sięgnęła po pudło. Chciała mu podać. Przypadkiem odgięła jedno z tekturowych skrzydeł. W środku dostrzegła stos kartek. Na samej górze był wielki napis wykonany tłustymi czarnymi literami ZAGINĘŁA. Pod spodem dostrzegła kolorowe zdjęcie z twarzą Ady. Wyglądało, jakby skopiowano je z legitymacji szkolnej. Dziewczyna miała białą koszulkę, grzeczną fryzurę i miły wyraz twarzy.

– Nie – zmieniła zdanie. – Zostań.

– Dziękuję ci za pomoc, ale...

– Przyjechałeś tu szukać córki, tak?

– Tak – potwierdził po sekundzie wahania.

– To skup się na tym, a nie na rozglądaniu się za noclegiem. Kto wie, czy gdzie indziej wynajmą ci pokój. Może wszyscy mają takie nastawienie jak ta baba stąd.

Arek położył już dłoń na klamce. Nacisnął ją, ale nie zrobił kolejnego ruchu. Nagle wysoko w górze rozległ się potężny huk, od którego zatrzęsły się szyby w oknach, a chwilę potem w dach uderzyły pierwsze ciężkie krople deszczu.

– Idzie burza.

– Zupełnie jak wtedy – dodał.

– Zostaniesz?

Kiwnął głową. W tej samej chwili na agroturystykę spadły burzowe strugi. Tak gęste i tak gwałtowne, jakby cały świat miał zaraz zniknąć pod grubą warstwą szarego całunu.

Thriller psychologiczny mistrza kryminału

Grupa trzydziestolatków, przyjaciół ze studiów, co roku wyjeżdża wspólnie ze swoimi rodzinami na wakacje. Tym razem trafiają do zagubionej wśród jezior i lasów agroturystyki w niewielkiej wsi Żmijowisko. Bawią się jak zwykle – odreagowując stres szybkiego wielkomiejskiego życia. Jest alkohol, są narkotyki. A także skrywane od lat urazy, dawne uczucia i wzajemne pretensje.

Podczas jednej z mocno zakrapianych imprez ktoś kogoś prawie topi. Wywiązuje się kłótnia, podczas której otwierają się dawne rany. Następnego dnia córka jednej z par, piętnastoletnia Ada, znika. Pomimo poszukiwań nikomu nie udaje się jej odnaleźć. Rozpływa się w powietrzu.

Rok później jej ojciec wraca do Żmijowiska, by podjąć ostatnią próbę odnalezienia córki. Przez te dwanaście miesięcy znenawidziła go cała Polska. Ale – jak się okazuje – nie wraca tam sam...

Żmijowisko to opowieść o tragedii, która niszczy. O rodzinie, która musi stawić czoło próbie przekraczającej ludzkie wyobrażenia. Uczuciach, które trwają pomimo mijających lat i nie niosą pocieszenia. Zdradzie, bólu i miłości. Strachu, zbrodni i karze. O tym, ile jesteśmy w stanie zrobić dla naszych dzieci i jak wiele nas to kosztuje.

cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

w sprzedaży także



lubimyczytać.pl

naszemiasto.

PORTAL
KRYMINALNY

POCISK



MASZYNA DO PISANIA



ZBRODNI
W BIBLIOTECE